



Stanisław Łoniewski

część II z II

Sygnatura notacji: **N1319**

Data urodzenia: **14.04.1929 r.**

Data nagrania: **28.12.2018 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Strachowo, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Dorota Grzechocińska**

Czas nagrania: **część I: 37 min, część II: 48 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Dorota Grzechocińska: A jeszcze, panie Stanisławie, wróćmy na moment do tego momentu, kiedy zostaliście wywiezieni na okopy do pracy. Jakby pan jeszcze mógł opowiedzieć.

Stanisław Łoniewski: No to na okopy, to zabierali wszystkich tak samo, kto tylko, jak to się mówi, szpadel potrafi utrzymać, to i kobiety tak samo jechały. I to było koło Póltuska nad Narwią, z tej strony Narwi. Ubienica się nazywała ta wieś. Tośmy tam, zawsze tośmy korzystali tyle, że spaliśmy i tak na dworze, i tak tam ciepło było, to tam się słomy trochę przyniosło, żeby tam nie na gołej ziemi się położyć. I tak jeszcze tam dwa tygodnie się tam tak tułali. Ale w dzień trzeba było iść te rowy kopać. Tam nam dawali jedzenie, te kotły były i gotowali kucharze. Jak to wyglądało to kopanie tych okopów? To wyznaczali, takie były działki po 10 metrów i takim wężykiem. Tak że nieprosty rów, bo taki rów głęboki, to też od czasu do czasu zmieniał kierunek. Nie był taki prosty. A te to po 10 metrów były takie działki. I w lewo, i w prawo, i to tak dawali na ten 10-metrowy odcinek. No głębokości to tak było, tak do dwóch metrów głęboko, no prawie, może metr osiemdziesiąt. Że jak wszedł, żeby głowę mu z tego rowu było widać. I jak tam ten front, żeby mógł potem strzelać jakby nachodzili. No tośmy tak po 10 metrów dostało się taką działkę w sześciu. No to jak trafiło się na taki grunt nie glina, nie kamienie, to tak można było do południa sobie, tam do 1:00 zrobić i to już było wolne. Już drugiego nie dawali. A jak gdzieś trafiło glina czy jakieś tam kamienie, to nawet i nie dali rady, choćby chcieli. Bo tylko oskardem trzeba było dziobać tam tego i kruszyć. No, ale nam akurat tam trafiło, że chociaż te ciężkie to mało się nie trafiło. To widać nawet było, że niedokończone.

Dorota Grzechocińska: A kto nadzorował?

Stanisław Łoniewski: Żandarmi. Tylko to znaczy oni byli te folksdojczy tam, – tak że po polsku umieli i oni.

A jak wróciliście stamtąd?

Stanisław Łoniewski: No, a wrócić, to potem na pieszo. Wróciliśmy do tego, tak jak już mówiłem, budynki spalone. Wspominał pan kiedyś, że mama z ciotką uciekły. A to z okopów, tak, to uciekły, no tak, to prawda. No i potem przyjechały wozem, chciały zabrać ojca, no i mnie oczywiście. Ojciec się bał, no nie tylko on, bo jeszcze i brata swojego chciał, bali się, że może będą ich potem ścigać czy jak. No i być może, mogło być, jak myśmy wracali, to mnie wzięła i jeszcze kuzyna, to mówi: „Takie chłopaki, to tam z kobietami jadą, niech se jadą może”, ale jakby zobaczyli, że dwóch starszych jest, to powiedziała: „Co wy nie na okopach?” I to już tam uciekli, chociaż zdarzało się, że uciekali, ale jakoś tam nikogo tam nie spotkali. Z powrotem nie przywieźli, bo tam specjalnie, tam czy nocami, czy jak, no nie wiem, jak tam. A my tośmy legalnie potem, jak przyjechała mama w tego konia, tośmy wozem sobie jechali i szczęśliwie myśmy wrócili. To nawet te niemieckie tabory już jak wracały z tego frontu trochę, tośmy się między nich tam gdzieś wcisnęli i razem jechaliśmy z tym. No i oni pojechali dalej, a myśmy do Sochocina skręcili, znaczy z Sochocina później na te baraki i tam do końca jeszcze myśmy wyzwolenia doczekali. A po wyzwoleniu, do Strachowa myśmy wrócili. I zaczynało się od nowa, tak jak mówiłem, spalone wszystko. I tak się zaczęło stopniowo dorabiać, ale też władza nam nie pomagała, bo raz, że może nie mieli bardzo, tak sami cośmy mogli, to pierwszy rok, to tam było zasiane tam zboża, trochę tak na wypadek ktoś tam tych pracowników, co na tym gospodarstwie pracowali, bo już ogólnie nieobsiane było nic, nawet nie było rady na zimę, żeby zasiać takie zboże, ale ten gospodarz, ten rolnik, co pracował u nich, to był Polak, tak sam w nocy, trochę zaorałem kawałek, bo tak na wszelki wypadek, żeby było na przyszły rok chociaż, mówię, te nasienie czy jakoś. No i to tak było, może pół hektara, może więcej, i tośmy też i to tam zebrali. No i było już na zasiew, chociaż już swoje było potem następny rok, bo tak to nawet nie było gdzie kupić, no, dalsi sąsiedzi mieli, ale to trzeba by płacić, a u nas nie było za co, nie było dochodów żadnych, skąd. Ale jeszcze ten moment, jak przechodzi front i jest pełno trupów żołnierzy, tak, radzieckich. – Tak.

Kto ich chował?

Stanisław Łoniewski: A to że wsi sołtys miał nakaz, to tak ktoś tam z gminy, znaczy tam z powiatu, to myśmy nawet, ja pomagałem tak samo tych zbierać i wykopaliśmy taką tam mogiłę, tam kilkunastu było i pochowali na razie na swoim polu tam gdzieś, już nie pamiętam dokładnie, ale blisko wsi zaraz. No i po pewnym tam czasie, nie wiem czy po pół roku, czy ile, dopiero przyszedł rozkaz i w Bolęcinie, to jest taka miejscowość i tam ten cmentarz, bo to z całego okręgu, to zwozili tych Rusków i tam postawił ten cmentarz, opiekują się w dalszym ciągu, jest pod opieką, powiat się opiekuje nim. I myśmy tam, i właśnie potem wykopywali tych trupów i wywozili tam, te mogiły tam kładli też po kilku do jednej, tak że nie każdy osobno, tylko po kilku, bo jakby po jeden, to by tam parę hektarów może zajęło, bo to ich tam dużo zginęło na tych polach, nie tylko w Strachowy, bo jeszcze nim do Strachowa doszli, to ich tam po drodze na tym Bolęcinie też zginęło, bo oni mieli, Niemcy w okopach, a to czy wychodzili na gołe pole, jak to się mówi, to łatwo było ich namierzyć i strzelać. No a po wojnie, po wojnie to właśnie jak, to w Płońsku jest ten cmentarz żołnierzy radzieckich na cmentarzu i tam się opiekuje właśnie już powiat i to ich tam przewozili potem wszystkich z tego cmentarza z Bolęcina, to przewieźli wszystko i w Płońsku jest.

Po wojnie wszyscy wrócili, cała rodzina do domu? – Mama, tata, rodzeństwo?

Stanisław Łoniewski: No, to wróciliśmy i wszystko tam z tych baraków, bo tam już ktoś czekał na nich, na to gospodarstwo, bo ten Niemiec, którym zajmowali, to zabrał, takiemu tam sąsiadowi miał dwa hektary ziemi, to zabrał te ziemie. Czy on zabrał, czy mu po prostu na przymus dali, to tego ja nie powiem, bo on nie był tak zachłanny, żeby zabierać, bo to był jego sąsiad, a tego wzięli właśnie na roboty do Prus, a te ziemie mimo woli, no, mówi, musisz obrać dla tego Niemca. Jak ten Niemiec nam te gospodarstwo przekazał, to mówi, to i te dwa hektary tam obrabiacie, niech nie leży odłogiem, no i to tak było. I potem ten Niemiec, który wrócił z tych Prus, zajął te gospodarstwo tego Niemca, bo on już tu nie wrócił, a uważam, że on tu opinie miał dobre, bo nikomu krzywdy nie robił, a dlaczego nie wrócił tutaj, to nie wiem. To gdzieś tam na zachodzie został. Panie Stanisławie, czy mógłby pan jeszcze opowiedzieć o pobycie w Pomiechówku? Kto z rodziny był konkretnie? Z rodziny to była nas, powiedzmy, cała rodzina. Nas było sześciu i rodzice, i jeszcze siostra, tatusia, ciocia była, to była cała rodzina nasza. A sąsiadów to też była, Wolkowskich, cała rodzina, Czyżewskich i Czajkowskich. To te rodziny to były w komplecie, po sześcioro, siedmioro, zależy w której, były wielodzietne rodziny. Mój tatuś miał na imię Ignacy, mamusia Józefa, najstarszy syn Józef, po mamie imię przejął, później Szczepan, potem Zygmunt, Jerzy, Stanisław to ja, i Longin, to była nasza rodzina.

Czy pan wie, czy ktoś pomagał z okolicznych rolników, czy z Polaków? Czy pomagał jakoś więźniom, – jakoś w obozie, dowoził?

Stanisław Łoniewski: A dowozić, tak, dowoził. Głównym organizatorem to był Marzecki Józef, on był wójtem w tym czasie, znaczy do tego czasu, bo potem to już Niemcy byli, władze przejęli w gminie i to on organizował, zbierał, swojego coś dał i kto tam jeszcze może, to przywoził, normalnie w furmanku wozem czy sam, czy z kimś jeszcze, to już tego nie powiem, bo ja akurat tam nie wychodziłem, jak coś przywieźli, to rodzice wychodzili, tam przeważnie matula, no i on tam przekazywał, że to od tych, to od tego się dostali, bo on tam wiedział, od kogo te paczki dostajemy. No i to było kilka razy, ale to tak parę dniśmy pobyli, nawet nie wiedzieliśmy, że to jest możliwość taka, a skąd on się tam dowiedział, jak, że można przywieźć, to ja tego nie wiem, w każdym razie, że dowoził. No to była radość wielka, bo tam nie powiem, że tam już taki głód był bardzo, to nie, no ale cóż, znaczy jak swojego się dostało, swojego chleba, jak to świeżo upieczony, taki wiejski chleb, to tamten też był dobry, tak samo. No i to tak kilka razy, może więcej dni, ale ze trzy razy to było, tam nie mówię, że co drugi dzień przywoził, tylko za tydzień może, jak już tak czuł, że już to znowu przywiózł tam. Więcej dni, jak trzy razy, to góra. No i potem już, jak mówię, gdzieś koło tego, w kwietniu tam nas wypuścili, to jeszcześmy się potem – rozeszli po rodzinie.

A okoliczni rolnicy, – czy też coś przywozili?

Stanisław Łoniewski: Dawali, ten Marzecki zbierał od właśnie rolników, te Prządaki tam jeszcze, już nie będą pani dokładnie wiedział od kogo, no ale wiem, że Prządaki to na pewno. Ona świeży chleb taki upiekła, bo to było widać, że to nie jest stary, tylko taką blachę chleba, no tam inni też coś, a to jakieś tam mięso, kawałek było w tym chlebie, nawet taki był upieczony chleb i taka tam bryłka, jakieś tam szynki czy coś, też się zdarzało. I także kilka razy przywoził, może więcej, jak trzy razy, to na pewno nie. No i potem już wyzwolili. Pan Nagiela kojarzy pan z tamtego

okresu, z tego spotkania? No wiem, że przywoził, że jakiś facet podchodził, ten chleb tam właśnie, to nawet ja wtedy wychodziłem też tam z mamą do tej bramy, do tej furtki tam, no i widziałem właśnie, że taki facet w cywilu, normalnie taki, a to właśnie się później dowiedziałem, że to on był, myśmy nawet się spotkali potem i mówię: „To pański ten chleb – mówię – taki dobry był”. Ale on właśnie zbierał tam od sąsiadów i dostarczał, taki miał jakoś taką odwagę w sobie, że mu pozwalali tam te Niemcy. Jak przyszedł tam żandarm, mu tam kazał, że przyniósł tam za jedzenie, no to nie bronił, to otwierał drzwi i wołał tam, żeby się zgłaszać, że tam pierwszego lepszego zawołał, zawołaj tak Łoniewskiego, czy tam Czyżewskiego, czy kogoś, no to się moment i już patrzy, i idziemy, to jest paczka dla nas tam, za tego, tak że dużo to pomagało nam. Panie Stanisławie, pan był po wielu latach w Pomiechówku ponownie. Jak pan to odebrał, jak pan to zobaczył po latach? No jak zobaczyłem to pierwszy raz, to tak by trochę przeleciały takie, taki dreszczyk, tak mówię, tak mój Boże, no nie pomyślałem, że tu jeszcze kiedyś będę miał tę okazję, bo tam jakbym miał chęci tego, to by zawsze można było się tam, ale w ogóle to nie przychodziło nigdy do głowy, tak żeby się kiedyś tam wybrać, ale nie, ale jak ja zobaczył, mówię, mój Boże, tu się było, tu się chodziło, tu z chłopakami lataliśmy, bo to przecież byłem tam 13-letni, to w ganianego tam, takie zabawy różne, nie było bardzo gdzie, ale trochę te miejsca, trochę było i tak te wspomnienia wszystkie odżyły.

I wewnątrz te miejsca przypominają?

Stanisław Łoniewski: A wewnątrz tak.

Te cele.

Stanisław Łoniewski: Tak, te cele, to od razu mówię, od razu te kopuły takie, tylko że teraz patrzyłem, jak myśmy byli, tych napisów to nie było nic, zamazane, zabiłone widocznie, a tak to było tak, kto tam przebywał wcześniej, to tam swoje nazwisko wpisał, to i myśmy się też tam wpisali, to szukałem tego, nie było miejsca, zamalowane było tam. Nie pomyślałem nigdy w życiu, że po 77 latach odwiedzę to miejsce, takie przykre w moim życiu, że jeszcze to odwiedzę, że zastanę takie, jakie było. Ale jakby historia tego obozu, tego miejsca, tego więzienia ma wiele różnych odston.

Pan wie, że tam w tym czasie, kiedy pan tam przebywał, to jeszcze była względna wolność, w sensie, że można było się tam poznać.

Stanisław Łoniewski: No tak, tak.

A jak pan w tym okresie, kiedy tam było więzienie, czy pan słyszał, co tam się działo?

Stanisław Łoniewski: Tylko to się dowiedziałem, że od nas jeden ze wsi był tam zamordowany, w tym Pomiechówku, już po nas, jak myśmy wyszli, to wtedy jego zabrali, bo tam należał do jakiejś tam polskiej partii, znaczy podziemnej, jakby zapamiętałem te nazwisko, nazwę tej partii i jakoś, że go tam dorwali Niemcy, jak to się mówi, i go tam w tym Pomiechówku zamordowali. Po ilu czasie, to nie wiem, tylko że był zakatowany tam. Wiadomo było tutaj powszechnie, że to było straszne miejsce, że tam... Że to Niemcy, że to wszystko Niemcy robili. A konkretnie, że co tam się działo,

wiedział pan? Co więcej tam się działo, to nie interesowało nas bardzo, już tak myśmy się tam... Tylko tyle, że od tej rodziny, tego Kwiatkowskiego, tam żona żyła i dzieci jego, to też niewiele wiedzieli, tylko mówi, że ojca tam zamordowali, te chłopaki, starsi nawet ode mnie byli, że mojego ojca zamordowali w Pomiechówku, to też tyle wiedzieli. Czy pamięta pan, kim byli strażnicy w Pomiechówku? Czy ich pan jakoś rozpoznaje? Może pan wymienić z imienia, nazwiska? Nazwisk to nie. Po polsku mówili dobrze, to tak wychodziło, że to folksdojczy, to znaczy ci nasi Niemcy, po co w Polsce, może z tego powiatu, może z tej gminy nawet, tak że znajomego takiego, którego bym znał, to nie było. A były tam obecne te psy, o których się dużo wspomina? Psy? Były, były to takie wypasione, jeden nie miał kagańca, a to te trzy, co tam latały koło nich, to znaczy szły to w kagańcach, były to takie pospasane i tego Żyda jednego, jak ten pies szarpał, to okropnie, co w tej naszej celi, co jak mówiłem, na szczycie tam leżeli i ich tam tego wywozili właśnie do Działdowa, to po nich, jak to ten pies go tak szarpał, wrzask był niesamowity, ale tego złapali drudzy, pod rękę tego Żyda, bo on tak kulał na nogę, już pewnie wcześniej go tam urządzili, tak że on we własnych siłach był, no i do samochodu. Tak że z tym, jak później, jak już mówiłem, że ojciec jak spotkał na drugi dzień w Działdowie, bo nas na drugi dzień zawieźli, to tak jak powiedział: mówi: „Panie Łoniewski, tam było pożegnanie, ale jak nas tu przywitali, to aj, waj, i widać było, tu siny, tu kulawy, jeden odstąpił tam te koszulę, sina, bili ich niesamowicie. I nie pytali głowa, nie głowa

Strażnicy byli w mundurach?

Stanisław Łoniewski: Tak. To nie były te czarne gestapowskie, tylko takie niebieskie, takie powszechnie, co chodziła ta żandarmeria, bo gestapo to już te czarne były, te swastyki, te hakenkrojce, te czerwone na tych rękawach, a to te normalnie, te niebieskie. A Żydzi, którzy byli umieszczeni w Pomiechówku, czy pan wie, z jakich miejscowości, czy ich znał? Z Płońska, może więcej z innych wsi też, bo Nowe Miasto było dużo Żydów, ale większość z Płońska, tak tam ojciec opowiadał, że dużo znał ich i tak dalej. Ale nie tylko, bo byli i z Nowego Miasta, w Nowym Mieście też było dużo Żydów. Tak że zapełniony był cały ten blok, osiem tych cel, to nie mogli się pomieścić, więc te 2-3 rodziny w naszej tej celi byli na tej stronie.

Z imienia i nazwiska pana Nagiela, czy pamięta pan, w jakich okolicznościach się... Bo mówi pan, że człowiek, który przyjeżdżał z furmanką...

Stanisław Łoniewski: No, tak, tak.

Kiedy się poznaliście, tak naprawdę z imienia i nazwiska, kiedy się rozpoznaliście?

Stanisław Łoniewski: To wtedy, jak tutaj, co było to spotkanie, ja mu o tym mówiłem, że ten chleb, co pan przywoził, to ja mówię, czuję ten smak, jaki on był dobry, bo to było pierwsze spotkanie. A tak jak mówiłem, przez furtkę wyglądałem, jak przywoził rozładowywał, i odbierałem, to tyle go widziałem w tym czasie, jak przywoził. Jeden raz tak mogło być, bo nie za każdym razem akurat wyglądałem jak... Ja mówię, może ktoś inny przywoził, albo jak, no nie wiem, tylko raz, jeden, jedyny, to widziałem go właśnie, jak zdejmował z tego i podawał do tej furtki, do tej bramki, jak się odbierało od niego. Bo wyjść za bramę można było, tam mama na przykład wychodziła, ale krok,

czy dwa i dalej nie. Po raz pierwszy spotkałem pana Nagiela po tylu, a tylu latach, który właśnie nam tak dożywał, jakbym powiedział, które to się nam bardzo przydało, te jedzenie, bo tam było, ale nie tyle i nie aż takie dobre. Tak że pozdrawiam go i dziękuję. Czego brakowało w Pomiechówku, tak jak pan teraz wspomina, tak dla was, czego brakowało wam? No brakowało nam tak po prostu tej nadziei, kiedy się wyzwolimy, kiedy nas uwolnią, kiedy się wydostaniemy stamtąd, bo tam nie było powiedziane, że siedzicie pół roku, czy rok. Do odwołania, no, jedynie tak. Nie wiedzieliśmy kiedy kładliśmy się spać i nie wiedzieliśmy, czy jeszcze będziemy się kładli, czy już ostatni raz. Oto takie było wrażenie. Przyszło wreszcie... Jak się jest takim dziesięcioletnim chłopcem, to jakie uczucia tam towarzyszyły? No to z tym, że taki właśnie po tym kubku mleka, to taki dodatek był dla nas, to ja się tam chciałem dostać i dostałem najpierw pyty, ale jakoś mleka, ten garnek, dostałem niby, ale więcej już nie poszedł, bo ta pyta bolała. Czy towarzyszył tam takiemu dziecku lęk, niepewność? No na pewno, na pewno przeżywałem to tego, co będzie z nami dalej, bo starszych, to już wiadomo, wywieźli na roboty, no to już wiemy, że jakoś tam będą żyli, a co z nami będzie, to nie wiedziałem. Czy tak nieraz się tam mówiło, że może gdzieś tam osobny jakiś obóz zrobią dla takich, no wiadomo, takie myśli też przechodziły. No ale na szczęście skończyło się tak, że z rodzicami razem wróciliśmy i przeżyliśmy. I potem właśnie, tak jak mówię, drugiego Niemca myśmy spotkali, co oddał swoje, co miał, wszystko róbcie jak u siebie, jak na swoim, dożyliśmy dwa lata, jak to się mówi, za dużo powiedziane, ale jak pączek w maśle, bo komisje niemieckie chodziły za zbożem, dlatego to niemieckie, to nie idziemy. Wtedy nie przychodzili. A myśmy nadwyżki sprzedawali, oczywiście były skupy i tak dalej, można było sprzedać i pieniędzy mieć dla siebie, już nie tego, on to nie chciał nawet grosza, żeby jemu tam jakąś dzierżawę płacić ani coś, tylko żonie drzewa, żeby miała czym palić, żeby nawieźć, to było całe zadanie. I dziwię się jeszcze, że on po wojnie się nie odezwał, a był w potrzebie, na pewno. To przecież od nas poparcie miał, że... Dlaczego, to nie wiemy. A był z nim jakiś kontakt tutaj po wojnie? Nie, właśnie nie. A się trochę tak dziwiliśmy, wiedział nazwisko i miejscowość, jak mógł listy jakieś napisać, nie wiem, nie było nic. To trochę było za wstawiennictwem tego wuja Klemensa. Tak, bo tak to nie wiem, komuś by tam dał tę gospodarstwo, na pewno, nie ten, to drugi by tam wziął. Ale ten właśnie wujek mówi, tu mam rodzinę, co oni się zaopiekują i będą robić. I tak było. Proszę opowiedzieć o wujku Klemensie. Co pan pamięta o nim? No trochę pamiętam, bo nawet zdjęcie jego, nie wiem, czy u nas nie ma tego zdjęcia. Był w wojsku Hallera, jak był jeszcze tam 18-letnim chłopcem, bo pojechał niby na zarobek, tam rodzinę miał, ciocię, i tam u tej cioci mieszkał, i pracował w jakiejś tam firmie. Ale gdzie pojechał, do Stanów? Do Stanów Zjednoczonych, do Chicago, bo tam Polonia przeważnie. No i tam Haller organizował tę armię, a on na ochotnika. Nie tylko on, bo więcej ich tam było, zgłosił się do tego wojska. No i tym to właśnie sobie przysporzył kłopotów, bo potem jak komuna weszła, a się dowiedzieli, że to Hallerczyk, tak potraktowali go tak, żebra dwa złamali, w szpitalu leżał, było ze dwa tygodnie, siny. A to pretekst był taki, żeby zboże oddać. Oddałem, co miałem, pokazuję kwity, mało. Jeszcze schowałeś, albo tam coś. To policja ta, ludowa właśnie, milicja. Tak go wzięli na posterunek, jego mama się dowiedziała, go odwiedziła, uchylił, sama może zauważyła, że siny był cały. Ale mówi: „To z łózka spadłem”. To nic takiego, tak mu przykazali, żeby nie mówił, że go pobili, tylko z łózka spadł. To prokurator potem, jak sądził tego, czy tam sędzia, już nie wiem, może sędzia, to z łózka spaść, żeby się tak, prawie na okrągło posinieć. A on mówi: „Tak mi kazali”. No i dopiero tego pana brata i jeszcze jednego, no siedział tam, niby wyrok dostał, 7 lat, ale odsiedział połowę za dobre sprawowanie. Wypuścili go, ale już nie wrócił do tej policji, do tej milicji. A kiedy Klemens wrócił do Polski, w którym roku? Po wojnie? No po wojnie, po tej wojnie, bo tutaj się już ożenił, znaczny już po wojnie. Znaczny po pierwszej wojnie światowej wrócił z tej Ameryki.

I całą wojnę spędził tutaj w Polsce?

Stanisław Łoniewski: Tak. W czasie wolnym co robił? Miał gospodarstwo i gospodarzył. Teraz syn tam został, najmłodszy.

A coś pan wie o jego służbie wojskowej? U Hallera?

Stanisław Łoniewski: No tyle, co zdjęcie było, w mundurze był, tego, no pochwalał, że dobrze, dobrze. – Zresztą też.

Pan z bolszewikami walczył pewnie, tak?

Stanisław Łoniewski: Tak, tak.

Coś mówił jeszcze?

Stanisław Łoniewski: No nie specjalnie, to tak może opowiadał, jakby ktoś tam ten temat drążył, ale tam w młodym wieku się tam patrzyliśmy na jego mundur jak tego, no to już ładnie wyglądało, Hallerczyk, Hallerczyk. A jak jeszcześmy pokazali kiedyś, jakiś tam przypadkowy gość był i mu pokazaliśmy to zdjęcie, tak się zachwycał, już nie pamiętam, jakiś to przygodny jakiś tam facet, ale mówi, to Hallerskie Wojsko, to słynne, mówi, oni jak mogli, tak później tu Polsce pomagali, bo to przecież to wszystko Polonia tam to organizowała, a on ochotnik, no to tym bardziej. A tak go tutaj właśnie ta władza ludowa tak go uszczęśliwiła potem na starość. No ale wykurował się jakoś, zmarł normalną śmiercią, 86 bodajże lat żył jak... To i tak długi wiek, naturalnie. A jeszcze do tego właśnie, brat jeden był księdzem, teraz jestem w tym, w Brazylii.

Brat babci.

Stanisław Łoniewski: No brat babci, no to i brat tego właśnie Smolińskiego, tego wujka, bo jeden był lotnikiem, ale w wypadku samolotowym, jakoś oblatywać, jakieś awarie miał, spadł i zginął w młodym wieku, chyba 18 lat, lat. A w czasie wojny, co się działo z Klemensem, w czasie II wojny światowej? Co się działo z Klemensem? No to gospodarzył na tym, cały czas gospodarzył, bo jeżeli syn dorósł, to mu odpisał te gospodarstwo i tak u niego tam już dożył w starości, tak. Tak że później już miał spokój. Jeszcze bym tak powiedział, że dzisiaj się to tak, jak to się nieraz mówi, z uśmiechem na ustach opowiada, ale nie życzylbym nikomu, nawet naprawdę nikomu takiego przeżycia, jakie się przeżywało. Niepewność jutra zawsze towarzyszyła w tym obozie, jak się siedziało, bo tak jak tutaj na tego, to tak jak i wszyscy, tak i my, ale w obozie nie wiadomo dokąd będziemy siedzieli. To było tak, jak to się mówi, randka w ciemno. Siedzimy i nie wiadomo dokąd. W końcu przychodzi ta iskierka tej nadziei, wypuszczają na wolno, to już radość nieopisana. Tak że, ale nie życzylbym nikomu przeżywać tego i przeżyć, bo to jest ciężkie do przeżycia, a dużo ludzi się po prostu nieraz i załamało, że po obojętnie, bo to już nie każdy organizm potrafi przetrzymać te wszystkie represje i tak dalej.

Kto jest na tym zdjęciu?

Stanisław Łoniewski: Florentyna z Nowakowskich i Jan Smoliński z dziećmi, synem Kazimierzem, córką Józefą, to jest moja mama, jej mężem Ignacym Łoniewskim, córką Heleną Bandydych, 1915 rok. Teraz tutaj, Stanisław Smoliński, wuj Stanisława Łoniewskiego, czyli mój wujek. A misjonarz, który jest w Brazylii teraz, wyjechał do Brazylii jako misjonarz Salezjanin, zakon Salezjanów. Do Płocka, do tych seminarzystów na piechotę z kolegą, czy z kolegami szli na piechotę. Może nie to, że nie było czym jechać, tylko taką intencję sobie zadali. Teraz tutaj, Klemens Smoliński, wuj Stanisława Łoniewskiego, żołnierz armii Hallera, to jest to na tym koniu. Teraz tutaj Hallerczycy, na zdjęciu, Klemens Smoliński, u góry z prawej, drugi z prawej strony na dole, na dole piąty z lewej, to tutaj piąty z lewej. No tam to ze trzech ich jest, to jest tam niepodpisane. O teraz to jest. Tu jest rodzina Józefa ze Smolińskich i Ignacy Łoniewski z synami, Jerzym, Longinem i Stanisławem, 1943 rok, bo starsi bracia byli na robotach w Niemczech. A tu jest Jerzy, to jest ten, co już nie żyje, Stanisław, to jestem ja, a to jest Longin, najmłodszy też nie żyje, a tu ojciec, tu matula. Tutaj rodzina Makowskich, czyli najstarszego syna, to jest Longina, to jest siostra tej Longiny. Tutaj rodzice właśnie, teście mojego brata Józefa, Makowscy. Tutaj to gospodarstwo Franciszka i Pelagii Grabowskich, to rodziców, rodziców tej, tak, twoich dziadków przy Borowicach, to jest tylko po szosie. A to są właśnie Franciszek i Pelagia Grabowscy, dziadkowie Modesty Łoniewskiej. O, to są dziadkowie. O, to jest mój tatuś, Ignacy Łoniewski, 1882 roku rodzenia, a 1977 zmarł. 1977, ojciec Stanisława. Tutaj Józefa ze Smolińskich z synami Jerzym i Józefem. Podczas odpustu parafialnego w Smardzewie, to tam jest, tam w tych stronach, uroczystości zesłania Ducha Świętego, Zielone Świątki. To jest Kazimiera z Makowskich i Włodzimierz Grabowski. To są rodzice mojej żony, rodzice Modesty, żony Stanisława, czyli moja żona, nie ma złudzeń. Tutaj rodzina Łoniewskich i Grabowskich, Strachowo 1963, to była taka uroczystość po odpuście, tacy goście tak zwani wyprawiali tutaj. Zjazd rodzinny, o przepraszam, tak, zjazd rodzinny Łoniewskich i Grabowskich. To już trudno się doszukać kto i co. Teraz tutaj, oto w czasie okupacji, Stanisław Łoniewski, 1943 rok. Dobrze wyglądałem, ledwie ten aparat miał objąć. Tutaj, o, Stanisław Łoniewski, fotografia 22. wiek. To, to, to było z okazji jak brat był w wojsku i przyjechał na urlop, i ja poszedłem do Płońska do fotografa i zrobiłem sobie w jego mundurze. – To nie jestem...

A w jego mundurze, pan nie był marynarzem?

Stanisław Łoniewski: Nie, ja nie byłem, byłem w wojsku, ale w piechocie, a w marynarza... Myślałem, że może mnie wezmą do marynarki, nie, nie. To sobie zrobię. Ze Smardzewa to chodził, fotografował. A, w Smardzewie, tak, oto to mamy ze Smardzewa właśnie. To jest brat, brat tego Smolińskiego, mojej mamy. To jest Janek Smoliński, no syn Smolińskiego, no tak. Powiedziałem brat, brata mamy chciałem powiedzieć, o. A z 1943 roku pana zdjęcie, to gdzie, kto robił? A to taki odpustowy tam chodził fotograf. Jak on się tam nazywał, to nie wiem, tylko chodził po odpuście. A tutaj to właśnie jak brat był na urlopie, to ja mówię, poszliśmy do Płońska i tam do fotografa, elegancko. Przymierzyłem, ale inny, później zielony mundur założyłem. A tutaj to procesja Bożego Ciała, rok 1950, dobrze, 1950. To tutaj gdzieś jestem, o, ten chorągiew wniosę. Tutaj o, tu jestem ja, bo tak jakoś mi tam...

Boże Ciało w Płońsku.

Stanisław Łoniewski: W Płońsku, no tak, tak.

A Ty tam urzędujesz?

Stanisław Łoniewski: Urzędowało się kiedyś, to mówię. Tu Modesta Grabowska, przyszła żona Stanisława Łoniewskiego w gronie uczniów i nauczycieli szkoły podstawowej w Koło Zębii. A w Koło Zębii to ludzi gnębią. Takie komentarze były.

Kiedy?

Stanisław Łoniewski: 1947.

Już po wojnie?

Stanisław Łoniewski: Po wojnie. Tutaj Stanisław Łoniewski z grupą uczniów szkoły podstawowej w Strachowie, bo takowa była, w prywatnym domu, w pierwszym rzędzie, drugi z lewej. – Oto tu jestem, o.

A to jest który rok?

Stanisław Łoniewski: No, to jeszcze małym chłopcem tam... 1939 rok, to już w pierwszej klasie chyba.

To była szkoła powszechna?

Stanisław Łoniewski: Tak. Trzyklasowa.

Pamiętał pan coś z tego okresu?

Stanisław Łoniewski: Pamiętam, no tam trzy klasy skończyłem w strachowskiej szkole, bo już więcej nie było, do Płońska już trzeba było kończyć. W Płońsku była wojna, więc nie mógł pewnie skończyć. No wojny nie było, to było po wojnie. To było przed wojną. A po wojnie była też szkoła, ale też tylko siedem klas chyba tylko tu było, nie? W Szpondowie. W Szpondowie to była siedmioklasowa. Teraz chyba nie ma wcale. Ale ty nie chodziłeś do Szpondowa? Do Szpondowa, do szkoły, to chodziłem na wieczorówkę tylko.

Do Płońska.

Stanisław Łoniewski: A, do Płońska. Pomyliło mi się. Do Płońska. A to jest mój brat właśnie najstarszy, Józef. Brat Stanisława, ten najstarszy.

W Królewcu, tak?

Stanisław Łoniewski: W Królewcu, tak. Przyjechał na urlop, bo po roku takie prawo było i nie pojechał. I nie pojechał. I przypadkowo poszukiwali brata tej właśnie, jego żony, bo on podpadł trochę tym właśnie, śpiewał tam „Jeszcze Polska nie zginęła”, przecież Niemcom to nie wolno było takie, a sobie pochłał trochę. No i jego poszukiwali. Akurat on przyjechał na urlop i był tu u nich w domu, tu mieszkali naprzeciwko, „A ty coś za jeden?”. Ausweis miał. Już go nie puścili z ręki, od razu go ze sobą zabrali na posterunek i rano odwieźli do Królewca. Już nie wrócił. To znaczy wrócił po wojnie, jak już się wojna skończyła, ale tam już, tylko już nie trafił do tej samej roboty, tylko obok blisko, ale tam już siedział. I nic za to mu nie było, potem, że nie tego. Tyle, że go ten żandarm odwiózł go tam. Tutaj teraz tak, Józef Łoniewski, czwarty z lewej, podczas pobytu na robotach przymusowych. Królewec, Kenitzberg, 1941-1943. Czwarty z lewej to taka raz, dwa, trzy, o to. A tutaj to już pierwszy jej syn najstarszy. Józef Łoniewski na dole, pierwszy z prawej, Królewec, 1941-1943 rok. To tu robotnicy normalnie po cywilnemu, po roboczemu się... A tutaj znowuż Józef Łoniewski z lewej, z kolegą, Stanisławem Plewińskim z Płońska. A on potem we finansach pracował, w wydziale finansowym. Ten Plewiński, a razem byli właśnie. No i kiedy nam się nieraz działa jakaś tam krzywda względem podatków, bo mieliśmy i do mnie i takie różne, bo to kułacy to byli gnębieni w ten sposób też. A ten Plewiński od tych podatków miał do czynienia, to miał tam nad nami ulgę jakąś tam. Pomagał. Albo tam nie powiadomił w ogóle odpowiednich władz, bo tak to zabraliby cokolwiek, bo musieli zapłacić ten podatek, nie było wyjścia. Kułacy byli i koniec, trzeba ich niszczyć. No dobrze, komentarz jakiś. Zygmunt Łoniewski, brat Stanisława z prawej, tu w wojsku jak był, Żary koło Żagania.

Zygmunt to był który w kolejności?

Stanisław Łoniewski: Trzeci, a ja byłem piąty.

I on też był na robotach.

Stanisław Łoniewski: Tak, tak, tak. I z robót wrócił jakoś tak na wiosnę, nie wiem, może marzec czy kwiecień, a na jesieni do wojska akurat rocznik pasował. Nie dużo to zagrzał, jak to mówili, do wojska dwa lata. O, a tu jest brat Stanisława Łoniewskiego, Szczepan z lewej i Jerzy z bratankiem Wiesławem. To jest ten brat Jerzy, który tam był już pokazany, a to jest ten brat, co właśnie po wojnie nie wrócił do Polski, tylko wyjechał do Kanady i do dziś nie wrócił. Miał już wizę, wszystko, przyjazd, jak te rozruchy były w 1956 roku, tu w tym Poznaniu, to mu zatrzymali i od tej pory już nie robił starania i nie przyjechał, nie był w ogóle. A tutaj znowuż Zygmunt Łoniewski z lewej, Żary 1947 roku, ale w wojsku we trzech tu już stoi. A tutaj Longin Łoniewski, to młodszy brat ode mnie, jest brat Stanisława z lewej i teściowa Stanisława, czyli mama mojej żony i brat w wojsku też byli, obydwaj. Akurat się spotkali, jak tutaj na urlop przyjechali i sobie zrobili zdjęcie. No, a tu jest ciekawy egzemplarz. Stanisław Łoniewski, okres służby wojskowej, 1954 rok, tak wyglądałem, a tutaj z kolegami, tu jestem ja, a tutaj Orłowski, a tutaj państwo młodzi.

Piękna kobieta.

Stanisław Łoniewski: No, podobna trochę czy nie? A tutaj Stanisław Łoniewski z synem Piotrem, taki był na koniu, Strachowo, 1968 rok.

Stanisław Łoniewski: Cztery lata. – Cztery lata, na koniku sobie zdjęcie zrobił. Tutaj w straży jestem, ochotnik, Ochotnicza Straż wzywa nas. A ja jestem tu drugi, przy tym sztandarze blisko. No a tutaj jest taka smutna trochę z synami z prawej, Longin, Jerzy, Stanisław, na pogrzebie tutaj Ignacy Łoniewski.

A tam matki?

Stanisław Łoniewski: Widzę. W dniu pogrzebu żony, Józefy Smolińskiej, to Łoniewskiej, Stanisława.

Pamiątka ślubu.

Stanisław Łoniewski: Dostaliśmy od księdza. Na odchodne, jak nam tam te błogosławieństwa udzielał, tak wręczył jeszcze taką pamiątkę. I tu jest tak, wierność, potomstwo, nierozzerwalność. I takie tutaj do grobu, grobek, tu kołyska, tutaj znowuż, trzymamy się za rączki. No a tutaj to już Stanisław Łoniewski w Działdowie z obozu, 1959, który, cholera... W 2009. Nie, nie, nie, w 2009 roku. Tylko, że nie w tym obozie siedzieliśmy, tylko taki obok stał drugi, jego nie ma.

Nie obóz, tylko budynek.

Stanisław Łoniewski: Budynek inny. Obóz ten sam, znaczy, dowództwo. A tutaj to był ten karny, tutaj właśnie biskup Nowowiejski i Wetmański, w tym obozie byli zamordowani. A ich tylko widywaliśmy jak na spaceriak, ten plac między naszym tym blokiem, co stał tu dalej, to tak w kółko chodziło, no mniej więcej 20-25, i tak jeden za drugim, tam w kółku. I to właśnie biskupa to już prowadzali, to nawet te panie z tego Płocka, jak by poznawały, to już mi tam przez okno, nawet ja też osobiście podszedłem, to widziałem jak go dwóch prowadziło pod rękę, bo sam już nie był w stanie, nie miał siły. A za jakieś może trzy dni, bo codziennie ich na spacer wyprowadzali, i tak to już ich nie było.